

A black and white close-up portrait of Andrzej Bart. He is wearing glasses and a striped scarf. The background is blurred, showing a person walking in the distance.

ANDRZEJ  
BART

RIEN  
NE VA  
PLUS

RIEN NE VA PLUS

Andrzej Bart  
RIEN NE VA PLUS

Copyright © 1993 Les Editions Noir Sur Blanc  
Wydanie III  
Warszawa 2010

**G**łos kobiety zmysłowy, lekko zachrypnięty. Pierwsze, choć najwyraźniej nieskierowane do mnie słowa, jakie usłyszałem od blisko ćwierci wieku. To, że je usłyszałem, spowodowane być mogło potężnym wstrząsem karety na coraz to bardziej wyboistych drogach.

„Więc może czas na ostrzygi? Zaostrzają ponoć apetyt zmysłów, ale czyż powinno się to uważać za coś zdroźnego? Najważniejszy z ewangelistów powiedział przecież...”

Drugi głos należał do mężczyzny, którego znałem dość dobrze, a w każdym razie tak mi się wydawało. Także zachrypnięty, być może ze względu na klimat kraju, do którego przybliżaliśmy się, lecz przy tym ocukrowany jakiś, co nie wzbudzało zaufania.

Odzyskując słuch, przestałem przeklinać nudę, a co za tym idzie – wyzywać od głupców Solteriniego i żałować dziesięciu tysięcy skudów, które na niego wydałem. Co prawda nadal byłem pozbawiony wzroku, ale tylko na skutek owinięcia w jedwabną materię, mającą chronić mnie przed niedogodnościami tej jakże egzotycznej podróży. Zresztą w którejś z coraz mocniej pachnących oberży mój wybawiciel, chcąc widać pochwalić się dobrym gustem,

uwolnił mnie z przykrego okrycia i zobaczyłem, iż nasza ekskursja powiększyła swój stan posiadania o dwie młode kobiety. Wybałuszone oczy służącej i jej smutna uroda, nieodbiegająca od wyglądu ludzi źle urodzonych, zdecydowanie odróżniały ją od pani, która nawet na mnie, mogącym nazwać się znawcą, uczyniła ogromne wrażenie. Była bowiem niewątpliwym dziełem sztuki. Złote włosy zawsze miałem w poważaniu, a przecież tę blondynkę jej stwórcą obdarzył jeszcze oczyma z najczarniejszej czerni. Twarz, doskonale klasyczna, miała w rysunku nozdry pewną niedoskonałość, co dodawało tylko szczypty geniuszu do banału doskonałości. W kąciu ust owo leciutkie, rozmarzone zagapienie, tak charakterystyczne dla wizerunków madonn pędzla naszych co zdolniejszych malarzy. Nad górną wargą ledwo dostrzegalny puszek, świadczący o zmysłowości, a w głębi oczu obraz tak wielkich rozkoszy i szlachetnego wyrafinowania, że mogło to wzbudzić uczucie zazdrości nawet u człowieka, który przeżył wszystko.

Pietro Baudi, czego bym się nie spodziewał, przyjął tę wspaniałą kobietę do kompanii, i to właśnie jej głos był pierwszym usłyszonym przeze mnie w nowym wcieleniu.

Wieczorem, przy kominku rozpalonym przez zasmarowane dziecko, piękna pani siadła w kulawym fotelu i wysuwając do przodu słabo okryte piersi, rozpoczęła opowieść o trapiących ją nieszczęśliwych przypadkach. Przerwała, aby podnieść do ust kieliszek mozelskiego wina, wiezionego w podróżnym sapecie Baudiego. Dowiedziałem się więc, że jest polską hrabiną ze sławnego w całym chrześcijańskim świecie rodu Krzywopalczystych. Baudi, do którego mimo uczucia wdzięczności nie miałem przekonania,

także znał tę rodzinę, a będąc niegdyś biedakiem, do czego przyznał się ze skromnym uśmiechem, jednemu z kuzynów hrabiny, uzupełniającemu edukację we Włoszech, udzielał lekcji teologii.

– Kiedy skończyłam czternaście lat – opowiadała hrabina, patrząc w trzaskający na kominku ogień – ojciec mój, nie chcąc, abym pogrążyła się w obserwacjach smutnego życia młodego jeszcze wdowca, wysłał mnie wraz z piastunką i kilkorgiem zaufanych ludzi do południowej Transylwanii, gdzie jego wujeczny brat rządził ogromnymi dobrami ziemskimi, prowadząc się przy tym mniej rozpustnie. Niestety, wuj Teodor Manycz odszedł z tego świata kilka miesięcy po moim przyjeździe. Gdybym za jego życia ośmieliła się nazwać go Teodorem Manyczem, musiałabym spać co najmniej tydzień na inkrustowanej dębowymi kołkami pryczy. Na szczęście Marica, młoda żona Teodora, uprzedziła mnie, że wuj od blisko czterech lat utrzymuje, iż nazywa się Orgaz.

Hrabina podniosła kieliszek i umoczyła usta w winie. Baudi pochylił głowę w prawdziwym lub udanym zainteresowaniu.

– Służba przyzwyczaiła się do tej zmiany najszybciej. Wystarczyło kilku skrócić o głowę, a na zamku zapanowało pełne zrozumienie. Gorzej było z sąsiadami i gośćmi, ale wreszcie i oni, uważając fanaberię tę za niegroźną, poczęli tytułować księcia Manycza hrabią Orgazem. A wszystko zaczęło się od przybycia misjonarza powracającego z Chin. Wuj podjął go grzecznie, jak zwykł postępować ze wszystkimi gośćmi, którzy zamieniali się często w rezydentów, pozostając u niego przez wiele lat. Misjonarz, jak mi opowiadano, miał wszelkie szanse zostania dwu-

dziestym siódmym rezydentem. Ciekawie opowiadał, co wuj wysoko cenił, potrafił umiejętnie pochlebić i wszystko układało się wspaniale aż do czasu, kiedy ten nieszczęsny klecha... – na te słowa Baudi nieznacznie poruszył się na krześle – postanowił nauczyć wuja gry karcianej, w której arkana wprowadził go ponoć czwarty mandaryn na dworze cesarza. Wuj był wielkim miłośnikiem kart i nie przepuszczał żadnej okazji, by bawić się nimi. Misjonarz poświęcić musiał sporo czasu, aż reguły gry w sotta zostały przez wszystkich opanowane. Talia sotta, podobnie jak talia taroka, złożona była z siedemdziesięciu ośmiu kart i tu kończyły się wszelkie podobieństwa do gry tak lubianej przez wuja. Osobliwość sotta, odróżniająca go nie tylko od taroka, ale i innych gier, polegała na niewywyższaniu się poszczególnych kart, ukrytych pod skromnym ornamentem i nieróżniących się niczym od siebie. Trudność gry polegała więc na ambarasowaniu rozumu wymyślaniem konkretnych wartości jednakowych przecież kart, przy pełnej niewiedzy, jakie wartości zechce nadać im partner i co trzyma w zanadrzu swojego imaginarium. W nieskończenie długich licytacjach grający ważyli każde słowo, bojąc się rzucić kartę i często nie mogąc objąć umysłem całości gry...

Byłem zaintrygowany opowieścią hrabiny, gdyż całe swoje życie spędziłem na grach we wszystko i o wszystko, a zwiędziłem je układem z Solterinim, co było najbardziej ryzykowną zagrywką. Przyznaję, poczułem się urażony nieznajomością sotta, urażony i coraz bardziej zaciekawiony.

– ...Wszechogarniający umysł misjonarza – mówiła dalej hrabina – zwyciężał i kiedy tylko przeciwnik wyrzucał

ostatnią kartę, jego karta okazywała się mocniejsza. Nie stawało mu jednak rozumu, by świadomie przegrać. Pasją wuja Teodora były karty, lecz karty zwycięskie. Nie był wszakże skąpy – wygrywając, często nie zabierał wygranej ze stołu – drażniła go jedynie niemożność wygrania. Pewnego wieczoru po kolejnej porażce zamyślił się; właśnie wtedy misjonarz zaproponował pójście dalej w sposobie gry i zrezygnowanie z kart w ogóle. Gra polegać by miała na wymianie odpowiednich słów. Wuj obiecał to przemyśleć, pożegnał wszystkich i udał się na spoczynek. Następnego dnia, z pierwszym promieniem słońca, hajducy wyciągnęli z łóżka nic nieprzeczuwającego mnicha i zanim rozbudził się na dobre, tkwił już na zaostrzonym palu, wciągnięty nań przez czwórkę ulubionych gniadoszy wuja. Męczył się tylko do południa, gdyż Marica uprosiła męża, by pozwolił mieczem skrócić jego cierpienia. Wieczorem do zwyczajowej partii wuj wybrał spośród rezydentów najtęższych graczy, partii rozegrał siedem i wszystkie wygrał. Wprawiło go to w doskonały humor, oddał z naddatkiem swoją wygraną, a potem długo chodził po komnatach, śmiejąc się cokolwiek za głośno...

Hrabina, co mogę zaświadczyć, umiała opowiadać i nie przeszkadzał jej nawet wierzący się niespokojnie Baudi.

– Stopniowo w zamku zarzucono grę w sotta, wracając do starych gier, wuj wygrywał, a przecież zwycięstwa cieszyły go coraz mniej. Często chichotał, by zapłakać nagle, modlił się także godzinami, co zastanawiało, gdyż do tej pory uchodził za pierwszego w okolicy ateusza. Niezwykłość jego zachowania przepełniła miarę, kiedy, namówiony przez Maricę, udał się w podróż po obcych krajach. Zawsze był domatorem i na wyjazd zgodził się dosyć

niechętnie, a jednak orszak składający się z wielu karet i wozów wyruszył wiosną, by powrócić jesienią następnego roku. We wszystkich odwiedzanych miastach już po pierwszych ablucjach i złożeniu powitalnych wizyt wuj natychmiast kazał się wieźć do co okazalszych kościołów. Połączone z żarliwą modlitwą zwiedzanie kościołów stało się jego pasją. Wóz wypełniony złotem, a strzeżony przez najtęższych siedmiogrodzkich zabijaków, których wuj zawsze wyszukiwał z upodobaniem, a których olbrzymi wzrost budził powszechny przestach na mijanych gościńcach, szybko stał się lżejszy, gdyż szczodre datki ofiarowywane opiekunom zwiedzanych kościołów chyżo opróżniały skrzynie. Wulkan w mózgu wuja wybuchnął w Hiszpanii, w podróży, w której towarzyszył mu książę Cordoby Filip. Madryt i Eskurial nie zrobiły na nim wrażenia, dopiero w Toledo, w kościele Świętego Tomasza, zobaczył coś, co miało odmienić całe jego dotychczasowe życie. W słabo oświetlonej niszy wisiał wielki, zaokrąglony u góry obraz, wykonany przez wziętego niegdyś, a zupełnie zapomnianego malarza...

Pomyślałem o Solterinim, ale jego obraz wiszący w kościele?

– Uwieczniona na obrazie uroczystość nie dawała odciążenia spokoju wujowi do końca jego dni. Niebo z boskimi mieszkańcami, skrzydlaty anioł unoszący zwiewną duszę i święci, którzy zeszedli z niebios, aby wziąć udział w pogrzebie hrabiego Orgaza, wszystko to uczyniło na nim potężne wrażenie. Przez kilka dni nie jadł, nie pił, wydając przy tym zakaz oglądania swego oblicza pod groźbą śmierci. Wreszcie Marica zdecydowała się wejść do męża i ponieść wszystkie konsekwencje swojej niesubordynacji.

Zanim jednak dotknęła klamki, drzwi otworzyły się i stanął w nich książę Manycz. Chociaż zachował swój dawny wygląd, nie był już Teodorem Manyczem, a w każdym razie nie był już nim dla siebie. Oznajmił, iż nie zważając na poniżenie, zrzeka się książęcego tytułu i od tej chwili jest tylko hrabią, hrabią Orgazem. Wszystko, co robił później, było już tylko walką o równie godny pogrzeb...

Baudi, ubrany tego wieczoru w skromną sutannę z brązowego *gros de Naples*, podbitą czerwonym aksamitem, słuchał nieporuszenie, bawiąc się pustym kieliszkiem.

– Nigdzie dłużej nie popasając, powrócono w rodzinne strony, gdzie Manycz-Orgaz, a właściwie Orgaz, będący ciągle moim wujem, rozpoczął gorliwe starania o zasłużenie sobie na nagrodę w niebie. Starzał się szybko i nie wiadomo kiedy stał się człowiekiem, którego śmierci można się było spodziewać. Właśnie w tym czasie przybyłam na jego dwór i choć nie dopatrzył się między nami żadnego pokrewieństwa, to przecież doznałam miłego przyjęcia. Jego dobre uczynki rozślawiły go rychło, a przestraszeni chłopcy na wieść, że ich pan kazał spalić wszystkie pale, dyby i gąsiorzy, poczęli gremialnie uciekać, uważając to za znak szaleństwa, mogącego doprowadzić do czynów bardziej nieobliczalnych. Wuj nie pozwalał ich karać i dopiero potajemny rozkaz Mariki, zezwalający uciekinierami zdobyć najładniejsze w okolicy drzewa, sprawił, że poddani uwierzyli w sprawiedliwość. Dobroć wuja była więc przeogromna, lecz kiedy zaprosił do siebie kilku co znamienitszych ojców Kościoła, ci odmówili, tłumacząc to różnymi, nie dość zrozumiałymi przyczynami. Przysłali jednak swoich mało znaczących zastępców, mających wchodzić z nim w teologiczne dysputy. Całymi dniami rozprawiano

więc o cudownym pogrzebie Don Gonzala Ruiz de Toledo, Pana na Orgaz, Najwyższego Notariusza Kastylii, a także Kawalera Zgromadzenia Kastylijskich Krzyżowców i Palatyna Chrześcijaństwa. Jeszcze w Toledo wuj nakazał wykonać niewielką kopię obrazu i potem, wodząc palcem po desce, głośno omawiał wyobrażoną tam scenę. Najżywiej pociągała go sfera niebiańska i o nią pilnie wypytywał dygoczących kleryków. Bardzo był też ciekaw, czy po jego śmierci także pojawią się święci Stefan i Augustyn, by w zastępstwie ziemskich kapłanów złożyć ciało do grobu; i czy można prosić o to świętych Piotra i Pawła. Doszukiwał się własnego podobieństwa do zmarłego i kazał nawet bardziej spiczasto przystrzyc osiwiąłą nagle brodę, a także zamówił stosowną do pięknego wzoru zbroję i polegiwał w niej przed lustrem z przymkniętymi oczyma. Chyba zastanawiał się wtedy, czy trzeba specjalnego rozkazu, aby na jego pogrzebie wszyscy mieli śnieżnobiałe kryzy; i czy Marica będzie mogła wziąć w nim udział, jeżeli Don Gonzalo nie miał podówczas przy sobie kobiet. W roztrząsaniu tego rodzaju wątpliwości duchowni dotrzymywali mu jeszcze pola, lecz kiedy pytania wuja poczęły tyczyć tych właśnie cech hrabiego z Orgaz, które spowodowały funeralny cud, dywagowali niezrozumiale. Nie potrafili też odpowiedzieć, co trzeba uczynić, by zbliżyć się do sacrum, i czy wystarczy po temu doprowadzona do skrajności dobroć. „Bo niby dlaczego nie? – zapytywał często. – Przecież wszelkie skrajności muszą się gdzieś spotkać, a więc i moja dawna, zbytnia może porywczość powinna się teraz połączyć z nieokiełznaną dobrocią. Czy złe potraktowanie misjonarza nie umocni tylko doskonałości zbołałej duszy?” Nie mogąc doczekać się właściwej odpowiedzi, postano-

wił dla zasługi w niebie poszukać na okolicznych ziemiach, a może nawet w swoim najbliższym otoczeniu, pogan i herezyków i zabijać ich równie dzielnie, jak czynił to Don Gonzalo. Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby któregoś dnia mój wuj nie zmarł nagle przed postnym śniadaniem. Byłam właśnie w ogrodzie, gdzie codziennie z rana przechadzałam się, czytając modlitwy...

– I jaki miał pogrzeb? – przerwał niecierpliwie Baudi.

– No cóż, zapewne inny, niż to sobie wyobrażał. Marica kazała go jak najszybciej pochować w prostej, sosnowej skrzyni, zapominając o ozdobnej zbroi, którą przymierzał jeszcze na godzinę przed śmiercią. W ostatniej drodze towarzyszył mu jedynie młody pop z pobliskiej wsi, mogący za życia wuja tylko marzyć o podobnym zaszczycie. Wszyscy rezydenci, wiedzeni przemożnym instynktem, natychmiast opuścili zamek. Mnie w ciągu kilku tygodni odprawiono, lecz to, co w tym czasie zobaczyłam, każe mi z niechęcią wspominać te chwile, a nawet po latach nazwać mą ciotkę potworem. Na skutek niepomyślnych okoliczności podróż powrotna trwała już lat dwanaście i dopiero teraz przekroczyłam granicę kraju dzieciństwa. Wiem o śmierci ojca, dwóch braci i stracie majątku rozszarpanego przez złych ludzi, mianujących się dalszą rodziną. Nie znam już prawie języka, zresztą od dziecka odgradzona byłam odeń murem francuszczyzny. Wiedzie mnie do kraju niezrozumiały odruch serca, tym bardziej dziwny, że teraz wre tam niepokój. Ile się musiałam nabiedzić, jakich użyć wpływów, by wreszcie uzyskać paszport, chociaż, jak mi powiedziano, może on nic nie znaczyć dla panów insurgentów. I gdyby nie pańska pomoc, drogi wybawco, nie wiem, czym by się to wszystko skończyło.

– Dwanaście lat w podróży to niemało, sądzę, że robiła pani dłuższe popasy?

– Słyszę ironię w głosie mojego dobroczyńcy, a doprawdy nie ma tu na nią miejsca.

– Czy nie będzie więc natręctwem prosić panią o opowieść o tym, co spowodowało, że podróż tak się przeciągnęła? – tę prośbę przedłożył Baudi następnego dnia, gdy tylko konie ruszyły.

– Otóż w kilka dni po opuszczeniu niegościnnych progów zbliżyliśmy się wraz z eskortą, przydaną mi dla bezpieczeństwa, do granicy księstwa. Tam zbrojni pożegnali mnie czołobitnie i czym prędzej odjechali. Dalej miałam jechać z zaledwie trojgiem służby; upłynęła może godzina, kiedy przejeżdżając zalesionym jarem wśród wykrotów i zalegających złomów skalnych, usłyszałam trzask łamanego drzewa i konie zatrzymały się przed zwałoną przeszkodą. Zewsząd słyhać było strzały, których się nie bałam, i przeraźliwe krzyki, od których cierpła mi skóra. Wszędzie widziałam zwinne postacie wymachujące strzelbami i nożami... oszczędzono tylko mnie i konie. Związana, jechałam w płóciennej budzie, wyprowadzana nocą dla zaczerpnięcia świeżego powietrza i rozprostowania kości. Troska ta nie wpływała jednak z przyrodzonej litościwości tych ludzi, lecz – jak się miało okazać – z chęci dowiezienia mnie w dobrym zdrowiu. Cyganie, gdyż byli to oni, trudnili się bowiem oprócz rabunku i drobnych kradzieży także handlem końmi, a przy nadarzającej się sposobności także i ludźmi. Jak się potem dowiedziałam, to Marica, chcąc, by w rodzinie nie rozprzestrzeniła się wieść o jej mężu Manyczu-Orgazie, a i o niej samej, hojnie ich opłaciła za zabicie mnie. Na szczęście okazali się ludźmi obdarzonymi